№ 4. Warszawa, dnia 14 (26) Stycznia 1881 r. Rok II.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.
POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,
w Warszawie: Mięsięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

JESTŻE PEWNEM?

Jeśli chcesz, droga, bym zapomniał ciebie,
To pogaś pierwej te gwiazdy na niebie,
Które świeciły nam w noce majowe;
To, jako lampę wytloną nad ranem,
Zdmuchnij ten księżyc z czołem zadumanem
I rozsyp z rosą blaski jego płowe.

To przed jutrzenką wstań, biała, z pościeli
I zagaś świt ten, co dzień szary bieli,
Płosząc słowika, tych gajów kochanka;
To nocy ciemnej, wiszącej nad ziemią,
Proś, niech nie budzi zórz sennych, co drzemią,
Nakształt róż świeżych zwiniętego wianka.

Lecz jest-że pewnem, że gdy księżyc blady
Z błękitów zetrze srebrzyste swe ślady,
I gdy ostatnia gwiazda już zagaśnie;
Jestże dość pewnem, że dla zbłąkanego,
Wśród tej ciemności i chaosu tego,
Jedynem światłem nie będziesz—ty właśnie?

Marya Konopnicka.

W KRAINIE ZŁOTA.

NOWELLA.

PRZEZ

LITWOSA.

(Ciąg dalszy).

XI.

Szałas w lesie. Spotkanie.

W życiu Mary Monteray, tak jak i na wiecznie pogodnem kalifornijskiem niebie, mało było zmian. Jeden dzień tak był podobny do drugiego, jak dwaj bracia bliźniacy.

Całą zmianę stanowiło to, że w miarę jak poznając okolicę, Mary ośmielała się stopniowo, wycieczki jej myśliwskie stawały się coraz dalsze.

Nie spotykała nigdy nic niebezpiecznego, raz jednak wróciła z lasu niespokojna: zdawało się jej, że ją ktoś śledził.

Niepokój jej wzrosł znacznie, gdy następnego dnia, o dziesięć mil angielskich, poniżej strumienia, nad małem jeziorkiem leśnem, przez które strumień przepływał odkryła szałas. Szałas był świeżo sklecony z giętkich gałęzi wierzbowych, pokrytych na wierzchu kawałkiem pitsburskiego płótna. Obok szałasu dymiło jeszcze świeżo zasypane ognisko.

Gdyby nie płótno, możnaby przypuszczać, że szałas był indyjskim wigwamem, dyle bowiem wierzbowe zatknięte były i wiązane w sposób indyjski. Ale i płótno i wyciski podkutych trzewików, świadczyły że w tem leśnem ustroniu chronił się człowiek biały.

Mary po chwili wahania weszła do środka. Obecność „Baby" dodawała jej odwagi.

W środku nie było nikogo. Na mchach leżała tylko widocznie niedawno zdarta skóra niedźwiedzia, którą „Baby" obwąchiwał ze zdziwieniem i niepokojem.

W kraju do którego chronili się rozbójnicy całego świata, ważną było rzeczą wiedzieć, kto żyje w sąsiedztwie, zwłaszcza jeśli ten ktoś krył się widocznie.

Mary też postanowiła za powrotem wysłać na poszukiwanie swych Yolofów, tembardziej, że gdy wracała, w połowie drogi doszedł jej uszu odgłos dalekiego strzału.

Zarządzone poszukiwania nie wydały jednak rezultatu. Jeden z murzynów spotkał wprawdzie jakiegoś nieznanego strzelca w lesie, ale nie mógł niczego się od niego dowiedzieć.

Na pytanie czy to on mieszka w szałasie, poniżej strumienia Czerwonych Skór, strzelec odpowiedział: „ja," na pytanie co robi, odpowiedział: „co mi się podoba."

Po tygodniu nie było więcej o nim mowy. Tajemnicza postać przestała Mary straszyć a zaczęła ją interesować. W jednostajnem życiu pustyni była to jakaś nowość. Mary polując w lesie myślała, że może gdzie niedaleko krąży tajemniczy strzelec i czasem ją to gniewało, częściej jednak bawiło.

Okolica wydawała się tak bezpieczną, że piękna amazonka częstokroć nie brała ze sobą swego niedźwiedzia. Zdarzało się to zwłaszcza wówczas, gdy się rozespał i gdy trącany piękną nóżką Mary, zamiast wstawać, mruczał gniewliwie.

Zwykle jednak doganiał ją potem, jakby się wstydził własnego lenistwa.

XII.

Pewnego razu mrok zaskoczył ją w lesie, szła jednak śmiało wązką żwirową ścieżynką, która nie była niczem innem, jak tylko wyschłem, płytkiem łożyskiem małego potoku, którym po porze dżdżystej spływała woda z gór do głównego strumienia.

Po obu stronach potoku wznosiły się nieprzebyte gąszcze lasu, podszytego rodzajem bożego drzewka, zwanego „czaporalem."

Mary szła odsuwając od czasu do czasu, gałązki wikliny tamującej drogę, gdy nagle przystanęła i poczęła słuchać.

W ciszy leśnej dochodził ją zdaleka zgrzyt żwiru przytłaczanego ciężkiemi krokami.

Mary zaniepokojona, odwiodła kurek karabinka.

Wkrótce zaraz ze zgrzytem żwiru doszło do jej uszu głuche mruczenie.

Usłyszawszy je amazonka opuściła natychmiast karabinek.

— „Baby!"—zawołała wesoło—„Baby!" come here!

Wśród gałązek wikliny, o kilkadziesiąt kroków od Mary, ukazała się olbrzymia głowa niedźwiedzia, biegnącego truchtem wprost ku niej.

— „Baby!"—zawołała Mary.

Dziwna rzecz: zwierz zamiast przejść z truchtu, w krótki radosny galop, jak to zwykł był czynić, zatrzymał się nagle.

Z piersi jego począł wydobywać się posępny, przytłumiony ryk.

— „Baby!"—zawołała jeszcze raz Mary.

Nagle karabinek zatrząsł się w jej rękach, a twarz okryła się śmiertelną bladością: to nie był jej „Baby."

Mary stała oko w oko z najstraszniejszym rozbójnikiem kalifornijskich lasów: szarym niedźwiedziem.

Na wązkiej ścieżynce nie mogła go ominąć, ani ujść w bok z przyczyny gęstości lasu. Miała wprawdzie w ręku karabinek, ale ten rodzaj niedźwiedzia nie pada nigdy od jednego strzału, a przytem ranny staje się wściekłym.

Miała także i nóż, najwyborniejszą broń w ręcznem spotkaniu, ale najsłynniejsi nawet strzelcy z Kanady, którzy całe życie spędzają na „plenach" środkowej Ameryki, nie odważają się uderzyć na „gryzli-ocas" z białą bronią.

Mary była zgubiona.

Tymczasem zwierz podniósł się na tylnych nogach, i machając przedniemi w powietrzu zbliżał się zwolna ku niej.

Mary przyłożyła kolbę do twarzy: rozległ się strzał, ale odpowiedział nań tylko ryk wściekłości.

— Pomocy! pomocy!—poczęła wołać Mary, zapomniawszy w przerażeniu, że najmniej pięć mil angielskich dzieliło ją jeszcze od domu.

Potwór był już niedalej jak o piętnaście kroków. Począł teraz rzęzić strasznie, białe pazury jego przednich łap połyskiwały w pomroce nocnej.

Mary uczuła że nogi gną się pod nią.

Nagle dotknęło coś jej ramienia, a nizki spokojny głos ludzki ozwał się za nią w ciemnościach.

— Beg pardon miss.... To jest mój „bussines."

Silna ręka odsunęła ją w tył, a przed jej oczyma zarysowała się wysoka postać męzka.

I jeszcze raz ozwał się cichy szept.

— I beg your pardon....

Krwawe światło wystrzału rozdarło pomrokę, a potem Mary ujrzała straszliwą walkę człowieka ze zwierzęciem. Bezładna kupa splątanych ciał padła na żwir strumienia... i przewracała się konwulsyjnie.... Słychać było tylko chwilami to zgrzyt zębów, to głośne sapanie, to urwany ryk.... Czasem łapa niedźwiedzia wznosiła się ku górze, czasem ręka ludzka uzbrojona w nóż.... Mary zemdlała....

Gdy przyszła do siebie, pierwszem wrażeniem jakiego doznała był odgłos kaskad na strumieniu. Widocznie była blizko domu. Jakoż zdala połyskiwało światełko w domu Tallera.

U jej nóg leżała na wznak bezwładna postać ludzka....

Wtedy Mary domyśliła się wszystkiego. Nieznany zbawca, widocznię niósł ją na ręku kawał drogi, zanim sam omdlał z wyczerpania.

Z walki nie musiał wyjść bez szwanku. Jakoż przy świetle księżyca Mary spostrzegła krew spływającą z jego szyi, piersi i włosów na wrzosy leśne. Przy jasnem świetle widać było jego twarz białą jak kreda: oczy miał zamknięte, otwarte usta oddychały, ale słabo i nieregularnie.

Była to piękna twarz, jakby z rzymskiego posągu barbarzyńca, znamionująca odwagę i siłę.

Mary pobiegła po wodę do strumienia, której przyniosła we własnym kapeluszu. Gdy parę jej kropel wpuściła do ust strzelca, ciało jego drgnęło, oczy otworzyły się na chwilę, a usta wyszeptały:

— I beg your pardon! Jestem szczęśliwy....

Mary wsparła jego głowę na swych kolanach i przez czas jakiś siedziała nieruchomie, bo nie wiedziała co robić: wołać o pomoc, czy też zostawić rannego, a samej iść po ludzi do domu. Zostawiać go bała się, a wołania mogli nie usłyszeć. Ktoby ją widział tak zamyśloną i schyloną nad bladą twarzą strzelca, mógłby ją wziąść za jakąś rusałkę leśną.

Noc już była zupełna, księżyc wytoczył się wysoko nad las: słowiki tamtych lasów, maukanisy napełniały gęstwinę słodkiem pogwizdywaniem, klaskaniem i jakby odgłosami pocałunków; w dali szumiał strumień, a szum jego mieszał się z bardzo dalekiem klekotaniem tartaków, drwali z Lathrop.

Mary wreszcie namyśliła się co czynić. Ponieważ karabinek jej pozostał na miejscu walki, wzięła więc ciężki karabin strzelca i nabiwszy go wystrzeliła w powietrze.

Powtórzyła to potrzykroć. Za drugim razem światła poczęły biegać po szybach domu Tallera, później światła owe oderwały się od tła domu i roiły, zbliżając się szybko ku Mary; wkrótce zaś kilkunastu Yolofów z Tallerem na czele przybiegło pędem, trzymając w ręku to latarnie, to rozpalone łuczywa.

— Co się stało?—pytał Taller.

— Przenieście coprędzej do domu, tego gentlemana—wołała Mary.

(d. c. n.)

Z TYGODNIA.

— Spóźniliśmy się z opisem uroczystości na cześć Ant. Ed. Odyńca, jaka miała miejsce w dniu 13 stycznia r. b., u wieszczki naszej Deotymy. Winą spóźnienia tego jest ustrój samego pisma, które w przeszłym tygodniu tylko mody podało, gdzie ani miejsca, ani sposobności potemu nie ma. Wynagradzając to czytelniczkom, dajemy szczegółowy opis tej rozrzewniającej uroczystości.

Może na dwie godziny, przed naznaczonym czasem, goście napływać zaczęli do rzęsisto oświetlonych salonów. Każdy chciał być pierwszym, w złożeniu hołdu sędziwemu poecie. Zebrało się osób przeszło 200, tak z Warszawy, jak i z różnych stron kraju, nawet z Litwy i Galicyi, umyślnie na ten cel przybyłych.

Około jedenastej do mieszkania Odyńca udało się dwóch literatów, druhów z stron ukochanych, rodzinnych.

Kółko najbliższych osób z rodziny, córka i wnuczki, z Deotymą na czele czekali u progu. Gospodyni domu świetniejąca, jak zawsze wdziękiem serdecznej gościnności, rozpromieniona szczęściem chwili, gałązkę laurową ofiarowała Jubilatowi i po przywitaniu z rodziną, poprowadziła rozrzewnionego i widocznie wzruszonego poetę do głównego salonu.

Po drodze damy witały Odyńca, darząc go bukietami. Kwiaty te, wnuczki jego w kosze zbierały, stosy ich gromadząc dla ukochanego dziadunia. Przy wejściu do sali, dał się słyszeć marsz uroczysty, wykonany przez orkiestrę z 40 osób złożoną, pod dyrekcyą kompozytora hr. Gustawa Platera. Sala stosunkowo niewielka, cudownym sposobem pomieściła tyle osób.

W głębi przed orkiestrą, umieszczono stolik, na którym między dwoma wspaniałemi kandelabrami złożone były dary, zasłoną pokryte. Z boku portret Odyńca olejny, zadziwiający podobieństwem, pędzla p. Tytusa Maleszewskiego, opleciony wieńcami kwiatów, laurowemi i mirtowemi liśćmi.

Po skończeniu marsza, p. Kucharzewski wypowiedział śliczną balladę, jeden z pierwszych utworów Odyńca p. t. „Branka Litwina."

Potem przy akompaniamencie orkiestry, pani Wojakowska i pan Suszyński odśpiewali mazurka, również kompozycyi hr. G. Platera, z słowami Deotymy, które tu przytaczamy w całości.

WILNO I WARSZAWA.

Głos od Wilna.

Ej! Wiślana ty panienko
Mów gdzie masz sumienie,
Bałamucisz nas piosenką,
Podobna Syrenie.
Oto wódz mych Wajdelotów,
Na twoje śpiewanie,
Całe serce ci dać gotów:
Cóż dla mnie zostanie?

Głos od Warszawy.

Ej! braciszku, serce twoje
Zazdrością przekłute,
Lepiej złóżmy się we dwoje
Na słówko i nutę.
Z dwubarwistych będzie piórek,
Piosenka jedyna;
Wprawdzie będzie to mazurek,
Ale dla Litwina.

Oba głosy razem.

Teraz niechaj Wajdelota kocha nas oboje,
Sam już w sercu nie rozmota co twoje, co moje.

Potem: „Na zamku kasztelana, brzmi muzyka dobrana,“ miłe nam w uszach zadźwięczało. Boć to znane od dzieciństwa, a ulubione słowa ballady, zakończonej polonezem, znowuż kompozycyi hr. Platera.

W końcu nastąpiło wręczenie darów i upominków, przy stosownem przemówieniu Deotymy.

Wiersza tego pominąć nie możemy, bobyśmy ujmę zrobili inicyatorce, w pięknych i dobranych słowach kreślącej znaczenie obchodu i symbolikę darów, a choć długi, pozwalamy sobie przytoczyć go w całości:

Po twardych drogach pracy i zasługi,
Wędrując z lutnią natchnioną,
Zebrałeś szereg wielbicieli długi,
I szczere przyjaciół grono.

Są tu sędziwi, dojrzali i młodzi,
Kilku pokoleń posłowie;
Ten cały zastęp drogę Ci zachodzi,
Z podzięką w gorącem słowie.

Za wszystkie pieśni, których złotem echem,
Skracałeś nam dzień podróży,
Za tę serdeczność, którą nam z uśmiechem,
Sypałeś jak listki róży;

Za te wspomnienia, których glina krucha,
Rzeźbą wybłysła z Twej ręki,
Za Twoją wierność dla sztandarów ducha,
Poeto, niesiem Ci dzięki!

I niech pamiątka tę chwilę uświęci,
Na stole, w pracowni Twojej;
Niech Ci przedstawia świątynię pamięci,
Gdzie wizerunek Twój stoi.

Dokoła, twory Twojej wyobraźni,
Ze srebrnych marzeń stężałe;
Jak śliczne córy i synowie raźni,
Stoją, oddając Ci chwałę.

Po nad świątynią, rzesza różnowzora,
Splata koronę dramatu:
Najpierwszy kwiatek Twej myśli „Izora,“
Wpatruje się w kielich kwiatu.

„Barbara“ sieje perły i zachwyty,
U bohaterskich stóp „Klary,“
Łamią się miecze, a wzrok „Felicyty,“
Unosi nas w błękit wiary.

Niżej rumaki i jeźdzcy. W nich widzę,
Jakby dwie chwile dziejowe:
Z dni przed Jadwigą i z dni po Jadwidze,
Miłosną ludów rozmowę.

Tu Nadniemeńczyk przy Lackiej dziewoi,
To Pogoń dawna, straszliwa.
On już ją kocha, lecz ona się boi,
Z objęć się jego wyrywa.

Z przeciwnej strony nic ich nie rozdziela,
Już tutaj miłość wzajemna;
Bo ja słyszałam, że rycerz z „Wesela,“
Był także rodem z nad Niemna.

Środkiem, na stopniach, leżą Twoje księgi.
W tajniku ich, odkrywamy
Kałamarz, symbol tej twórczej potęgi,
Co źródło ma w sobie samej.

O! Twoich książek nam jeszcze zamało!
Źródełko! bij z nową siłą,
Aby świątyni stopni przybywało,
A nam wdzięczności przybyło.

Odyniec do głębi wzruszony, dziękował czule Deotymie i licznemu gronu wielbicieli i przyjaciół, słowami, malującemi jego pełne prostoty nawyknienia, niezgodne z darem tak wspaniałym, ceniąc nadewszystko tę pamięć i to serce, które podyktowało uczcić jego sędziwy wiek, nie zaś zasługi, których sobie nie przyznaje. „Widzę, kończył, we wszystkiem tę łaskę Bożą, której wszystko w mem życiu zawdzięczam i ci których najwięcej kochałem, najbardziej uwielbiałem, byli zawsze sprawcami szczęścia mego i najprzyjemniejszych chwil. Jedną z tych najmilszą zawdzięczam Deotymie, dla której, obok uwielbienia, dla jej cudownych natchnień, mam w sercu cześć największą i przyjaźń braterską.“

Polonez zakończył szereg owacyi, a długo jeszcze potem salony roiły się tłumem gości, zajętych rozmową ożywioną i oglądaniem darów, które składały się: z kałamarza w guście świątyni, o słupkach hebanowych; w pośrodku mieści się biust Odyńca ze srebra, wielkiego podobieństwa. Na czterech rogach stoją posążki ze srebra, przedstawiające cztery bohaterki z dramatu Jubilata: Izorę, Felicytę, Barbarę i Klarę.

Po obu stronach stopni, znajdują się dwie gruppy konno, z których jedna przedstawia *Litwina* ścigającego *Brankę*, a druga *Towarzysza Pancernego z Wesela*, porywającego swoją kochankę. Na stopniach świątyni leżą srebrne księgi, z tytułami dzieł Jubilata, które otwierając się, ukazują kałamarz.

Najmilszym dla Jubilata upominkiem był album mieszczący w sobie śliczną akwarellę Andriollego z wizerunkiem Mickiewicza i Odyńca na Wezuwiuszu, gdy jeden płaszcz, obu przyjaciół okrywa.

Przewracając dalsze kartki, widzimy kompozycye hr. Platera, na tej uroczystości wykonane, poezye Deotymy i fotografie osób, które w tej owacyi udział wzięły. Wieczór ten na zawsze pamiętnym nam zostanie, a obok życzeń solenizantowi, składamy dzięki Deotymie, która w tak ujmujący sposób potrafiła uczcić zasługi sędziwego poety, nie szczędząc trudów i pracy.

— Jakże piękne zadanie podsuwa nam p. Jeleński, którego każde wystąpienie na polu filantropii, ujawnia usiłowania zacne i szlachetne: mówimy tu o ochronce polskiej w Petersburgu. Bardzo niewielu wie o jej istnieniu, pisze p. Jeleński, czerpiąc szczegóły z listu jednej z opiekunek, a jednak przygarnia ona przeszło 150 dziewcząt polskich z najuboższej klasy. Brak tam odzienia, trudno o chleb powszedni i o zasiłek duchowy, a więc o książki. Czy nie znajdzie się garstka osób dobrej woli, ludzi zacnych, coby zajęli się zebraniem użytecznych książeczek, a redakcye pism dla dzieci, czyż nie pomyślą o przesłaniu po jednym egzemplarzu, na użytek ochronki, idąc w tem za przykładem „Świata“ i „Wędrowca.“ Posyłki należy adresować: Wyspa Wasilewska, linia 14, Nr 25. Wspomina przytem pan Jeleński, jaką cichą zasługę położyła ochronka w wychowaniu dziewczynek, z których sporo opuściło zakład, dobrze do pracy usposobionych i dziś zarabiają na chleb uczciwie; inne zaś wróciły do rodziny, lub wydano za mąż. Brak jest tylko środków do rozszerzenia zakresu działania, słusznie też p. Jeleński wzywa polaków w Petersburgu zamieszkałych, a jest ich tam około 40 tysięcy, do przyjścia z pomocą ochronce, nie wątpiąc iż i Warszawa zawsze przodująca w czynach miłosierdzia, grosza przyrzuci. Komu trudno wprost wysyłać, może książki lub datki przysłać na ręce nasze, a postaramy się wyprawić je najśpieszniej na miejsce przeznaczenia.

Ochronka ta przywiodła nam na myśl niedawno czytany w „Gazecie Lwowskiej“ ciekawy opis szkoły rolniczej we Francyi.

„Kolonia ta kobieca, przeznaczona przeważnie dla młodych dziewcząt uwolnionych z więzień, zawdzięcza powstanie swoje siostrze Ernestynie, zakonnicy, która pełniła obowiązki Siostry miłosierdzia przy więzieniu w Bicêtre. Pewnego razu zgłosiły się do niej dwie młode dziewczyny, które właśnie uwolniono, a które błagały i zaklinały, ażeby je pozostawiono w zakładzie. Biedne te istoty nie miały dachu, ani rodziny i obawiały się niebezpieczeństw, jakie im groziły w dalszem życiu. Łzy ich wzruszyły Siostrę Ernestynę, napisała zatem do kapelana więziennego w Rouen, księdza Podvin, przedstawiając mu położenie tych sierot i prosząc o radę, a następnie za jego radą obmyśliła dla nich przytułek, który stał się początkiem zakładu, dającego dziś po trzydziestu latach istnienia, schronienie, pracę, naukę i opiekę trzystu młodym dziewczętom. Pierwsze lata zakładu były rzeczywiście trudne, później jednakże instytucya znalazła poparcie i pomoc, tak, że można było zakupić dla niej dom i kawałek pola.

Utworzenie szkoły rolniczej nie było pierwotnym planem Siostry Ernestyny, instytucya ta powstała bez ściśle wytkniętego kierunku, a w zakład gospodarski wiejski zamieniła się dopiero następnie w skutek zbiegu okoliczności. Obecnie ten przytułek (asile refuge) już od dość dawna przeznaczonym został przez ministerstwo spraw wewnętrznych dla młodych dziewcząt, wypuszczonych z więzień, które ze wszystkich prowincyj przysyłają do Darnetal. Za każdą z nich opłaca departament, z którego pochodzą, 40 franków przy wstąpieniu i 60 centymów dziennie aż do ukończenia lat 15, gdyż w tym wieku należy przypuszczać, że mogą się już utrzymać z własnej pracy. Oprócz tego, ministerstwo daje zakładowi pod rozmaitemi tytułami znaczne zasiłki.

W obecnej chwili zakład ten mieści 306 dziewcząt różnego wieku, począwszy od 6-go roku życia. Wiele z nich odcierpiało kary za drobne kradzieże chleba, cukru, grochu i t. p.; niektóre umieszczono tam dla tego, aby je usunąć od złego przykładu, jaki miały u rodziców. Zakład składa się z wielkiego domu o widnych, obszernych izbach, w których sprawozdawca zastał wychowanice zajęte najrozmaitszemi pracami. Wykład nauk w klasach trwa tylko dwie godziny dziennie, reszta czasu pozostaje na inne prace, jak szycie bielizny i odzieży, pranie, prasowanie i t. p. W jednej z sal doroślejsze dziewczęta szyły na maszynach, wprowadzanych w ruch zapomocą pary. Osobna maszyna służy do krajania bielizny. Sypialnie znajdują się w oddzielnym budynku i odznaczają się wzorowym porządkiem i czystością. Nieopodal widać mały, ładny kościołek, do którego zaprosił sprawozdawcę oprowadzający go kapelan. Następnie zapytał, czy pragnie zwiedzić folwark. Na potwierdzającą odpowiedź, kazał zaprzęgać i zbliżając się do stojącego na boku stołu, dodał: „Zatelegrafuję, żeby naprzeciw nam wysłano z folwarku konia, bo droga idzie pod górę. Telegraf ten — dodał — jest podarunkiem pewnego duchownego protestanckiego, który przed niejakim czasem zwiedzał nasz zakład. Widzisz pan, że idziemy z postępem. Mamy tu już i telefony.“

Sprawozdawca z kapelanem wsiedli do wózka. Na koźle siedziała silnie zbudowana dziewczyna, która pełniła obowiązki woźnicy po wcale nie najlepszej drodze. U stóp pagórka, na którym znajduje się folwark, oczekiwał koń do przyprzęgu. Przyjechała na nim bez siodła inna dziewczyna, zeskoczyła szybko, przyprzęgła, i wskoczywszy zręcznie na konia, pojechała naprzód. Sprawozdawca mówi, że zaledwie mógł uwierzyć swym oczom, widząc na folwarku same dziewczęta, które bez żadnej pomocy mężczyzn wykonywały najcięższe roboty na bardzo nierównym gruncie. Orały, nawoziły, siały, zwoziły paszę. Na obszernej łące pasło się 60—70 krów różnej rasy, pod nadzorem kilku pasterek, których doglądała zakonnica. Część drogi, mającą około dwóch kilometrów długości, wyrównały i wyszabrowały wychowanice zakładu w przeciągu dni jedenastu.

Podwórze folwarczne przedstawiało w chwili przyjazdu sprawozdawcy oryginalny widok: dwie młode dziewczyny kuły konia. Sprawozdawca zapewnia, że najbieglejszy kowal nie mógłby zręczniej wziąść się do tej pracy.

Główną specyalnością zakładu jest hodowla bydła. Oprócz wspomnianej już liczby krów, zakład posiada 23 koni, wiele nierogacizny i przeszło tysiąc sztuk drobiu. W małym ogródku,

mającym 250 metrów kwadratowych, uprawiają się jarzyny, a mianowicie szparagi, które w Rouen z powodu swej dobroci, najdrożej bywają płacone i przynoszą zakładowi 2,000 fr. rocznego dochodu. Powietrze na folwarku jest tak balsamiczne i orzeźwiające, a twarze wszystkich wychowanic świadczyły o takiem zdrowiu, że sprawozdawca zapytał, czy infirmerya jest potrzebną w zakładzie? Kapelan zapewnił, że wychowanice rzadko chorują, a nawet choroby inwentarza należą do niezwykłych wypadków.

Szkoła rolnicza w Darnétal nie jest właściwie zakładem teoretyczno-naukowym, ale stanowi wyborny zakład naukowy praktyczny. Nauki udziela ksiądz Podvin, doświadczony rolnik i 25 zakonnic, których przełożoną jest Siostra Ernestyna. Ćwiczenia religijne ograniczone są do wysłuchania jednej mszy codziennie i zwykłego niedzielnego nabożeństwa. Dziewczęta pozostają w zakładzie do ukończenia lat 18, następnie łatwo znajdują zajęcia, jako ogrodniczki, gospodynie i szwaczki. Niektóre dobrowolnie pozostają dłużej w zakładzie, każda zaś ma prawo przybyć tam czasowo w razie choroby, lub braku zatrudnienia.“

— Mówiąc o zacnej francuzce Siostrze Ernestynie, której nazwiska nawet sprawozdawca nie podaje, godzi nam się wspomnieć o zmarłej niedawno pani Thiers żonie b. prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej. Była ona cichą, kochającą obowiązki swe kobietą. Na najwyższem stanowisku postawiona, nie umiłowała błahostek, nie rzuciła się w wir zabaw szalonych, nie zasłynęła strojem i przepychem; ale cicha i skromna otaczała tkliwą opieką małżonka, była duszą domu jego i musiała mu w trudnych okolicznościach być radą i pomocą. Mówiąc o niej, mimowoli cześć należy oddać uczciwej kobiecie, wzorowej żonie, wzorowej wdowie i obywatelce.

Wydana w 16 roku życia za mąż, córka bogatego przemysłowca, przez lat 40 blizko była kochającą i najwierniejszą żoną. Po śmierci Thiersa nieukojona w żalu, grób jego kwiatami nieustannie wieńczyła, urządzała uroczystości doroczne w rocznicę śmierci. Serce które tak umiłowało małżonka pękło z żalu, słysząc obelgi nań miotane przy odkryciu nowego pomnika, który Rzeczpospolita Thiersowi ze składek wystawiła. Mało kobiet podobnych posiada społeczeństwo a w szczególności francuzkie. U nas nie rzadko żona była koroną głowy męża, jak mówi Kochanowski, a świętych wdów trudno zliczyć, że z licznego szeregu przytoczę Annę Chodkiewiczowę, wdowę po hetmanie.

— W Anglii zmarła sławna powieściopisarka, znana pod pseudonimem George Elliot. Była ona córką ubogiego pastora, wychowanie odebrała bardzo staranne przez bogatego krewnego, który maleńką dziecinę upodobał sobie. Do jej przyjaciół liczyli się: John Stuart Mill, Herbert Spencer, niedziw więc, iż umysł jej poważniejszemi rzeczami był zajęty. Na polu literatury pracowała z powodzeniem, wiele jej powieści znanych jest czytelniczkom z przekładów polskich, jakoto: Stefan Bede, Romola, Middlmarch. Był to umysł podniosły, więcej męzki i podobno imię w pseudonimie swem przybrała na cześć p. George Sand, której była wielbicielką.

M. R.

Czem się u nas zajmie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci?

(Dokończenie).

Bardzo ważną jest pomoc, jaką niesie ubogim matkom niezamężnym, zaraz po przyjściu na świat dziecka instytucya prywatna, zwana przytułkiem Gérando (*l'asile Gérando*), przyjmująca kobiety takie w wieku od 16 do 26 lat, które tam przebywać mogą przez 3 miesiące po urodzeniu dziecka, przyczem dziecko jest oddanem na mamki przez matkę lub przez dobroczynność publiczną; zakład ten ma 33 łóżek.

Nakoniec, gdzie powyższe środki użytemi być nie mogą lub nie wystarczają, tam dziecko przyjętem zostaje do domu podrzutków (609 łóżek), gdzie znajduje schronienie bezpłatne każde dziecko opuszczone, lat 12 niemające.

Rodzice lub jedno z nich każdej chwili dziecko swe z tego przytułku odebrać mogą; w przeciwnym razie dobroczynność publiczna troszczy się o jego wychowanie i naukę rzemiosła.

Gdzie matka uboga zatrzymuje dziecko przy sobie, tam ważną nader rolę odgrywają żłobki, w których obowiązuje regulamin ustanowiony dekretem z roku 1862.

Według regulaminu tego do żłobka przyjętemi być mogą dzieci nie mniej jak 15 dni życia mające a niemające jeszcze skończonych lat 3; winny być przytem zdrowe i mieć ospę szczepioną (?); żadne dziecko nie pozostaje w zakładzie przez noc; matka musi udowodnić, że zarabia na swe utrzymanie po za domem; zobowiązać się też musi do przynoszenia i odnoszenia dziecka a nadto do karmienia go piersią dwa razy na dzień do czasu odstawienia.

Z chwilą odstawienia, dziecko przechodzi ze żłobka do ochronki.

Za pomieszczenie w żłobku, matki płacą maleńkie wynagrodzenie, ustosunkowane do środków, jakiemi rozporządzają.

W Paryżu w roku 1876 było 30 żłobków, w których znajdowało pomieszczenie dziennie przeszło 1000 niemowląt.

Po żłobkach idą ochronki, gdzie dzieci znajdują schronienie i wychowanie.

W ochronach, dzieci rodziców niezamożnych otrzymują pomieszczenie bezpłatne.

Pewną liczbę ochron (*salles d'asile*) utrzymuje gmina, inne departament, inne znów państwo, a znaczną liczbę osoby lub stowarzyszenia prywatne.

Każde dziecko bez wyjątku zostaje natychmiast, po zgłoszeniu się rodziców przyjęte do ochronki, a dopiero następnie władza miejska rozstrzyga, czy pomieszczenie będzie bezpłatne lub za opłatą.

W Paryżu w 1876 r. było 136 ochron; z tych 114 z funduszów publicznych—schronienie w ochronach znajdowało 26,413 dzieci.

Dziecko ubogich rodziców po opuszczeniu ochronki dostaje się do szkoły; szkół, w których pomieszczenie jest bezpłatnem, posiada Paryż 273, do których uczęszcza 91,540 dzieci.

Istnieje nadto, od 1872 roku, szkoła przygotowawcza do nauki rzemiosł (*l'école préparatoire à l'apprentissage*), wspierana z funduszów miasta, dająca pomieszczenie dla 122 dzieci, które w ciągu 3-letniego kursu, obok nauk elementarnych, uczą się początków chemii, fizyki i mechaniki, a jednocześnie obeznawają się z obróbką żelaza i drzewa.

Zobaczmy teraz, co się w Paryżu dzieje dla dziecka sieroty, bez względu na to, czy sieroctwo jest następstwem zgonu rodziców, pozostawania ich w szpitalu lub w więzieniu, czy wprost przestępnego opuszczenia.

Jeżeli dziecko sierota nie ma skończonych lat 12, dostaje się do podrzutków, gdzie zakład zajmuje się jego nauką i opiekuje się niem do dojścia do pełnoletności.

W tymże domu znajdują pomieszczenie czasowo dzieci, dopóki ich rodzice nie wyjdą ze szpitala lub z więzienia.

Dzieci wskutek osierocenia do domu podrzutków oddanych bywa do 700 rocznie, wskutek zaś czasowego sierocтwa w roku 1875 oddano 2,321.

Ta ostatnia cyfra jest szczególniej nauczającą; w Warszawie tej kategoryi sierot chwilowych bywa rocznie z pewnością przeszło 300—a gdzież jest dla nich schronienie, gdzie opieka, z pod którejby nieuszkodzone na ciele i duchu dostawały się z powrotem do rodzicielskiego domu?!

Działalność dobroczynności prywatnej pod względem pomocy dla sierot jest w Paryżu prawdziwie kolosalna.

Istnieją tu rozmaite instytucye z programem mniej lub więcej określonym, które, o ile możności, sieroty pod ich opiekę się dostające wysyłają do schronień sierocych (*orphelinats*) na prowincyi w znacznej liczbie istniejących.

Oto nazwiska pewnej liczby rzeczonych instytucyi paryskich:

Towarzystwo przyjaciół dzieci (*société des amis de l'enfance*).

Towarzystwo opieki nad dziećmi (*société protectrice de l'enfançe*).

Towarzystwo sieroce dep. Sekwany (*s. de l'orphelinat de la Seine*).

Towarzystwo pod wezwaniem Opatrzności (*s. de la Providence*), zajmujące się nauką rzemiosł ubogich sierot.

Instytucya zwracająca sieroty ich rodzinom (*oeuvre du repairiement des orphelins délaissés*).

Instytucya św. Mikołaja (*oeuvre de St.-Nicolai*), daje wychowanie i naukę zawodową ubogim chłopcom sierotom.

Stowarzyszenie przemysłowców i fabrykantów udzielające opieki sierotom.

Także samo stowarzyszenie mające na celu adoptacyę sierot.

Instytucya opiekuńcza (*oeuvre de tutelles*) nad małoletniemi opuszczonemi.

Instytucya adoptacyjna.

Towarzystwo adoptacyi dzieci opuszczonych i ubogich sierot.

Towarzystwo i szkoła imienia Fenelona, udzielające nauki elementarnej i wiadomości z rolnictwa ubogim chłopcom.

Instytucya św. Anny, poświęcona adoptacyi i wychowaniu młodych dziewcząt ubogich, najmniej 11-letnich.

Dwa stowarzyszenia mające na celu wynajdywanie pomieszczenia dla młodych sierot w nauce rzemiosła.

Dwa towarzystwa opieki nad terminatorami i dziećmi w fabrykach.

Towarzystwo opieki nad sierotami wyznania ewangelickiego i takież towarzystwo nad uczniami w rzemiośle wyznania reformowanego.

Towarzystwo zajmujące się pomieszczaniem dzieci na nauce rzemiosła.

Wreszcie jest kilkanaście odrębnych instytucyi, poświęconych opiece nad sierotami po stolarzach, tapicerach, ślusarzach i t. p.

Zasługują jeszcze na uwagę przytułki (dwa) dla dzieci wychodzących ze szpitala, równie jak i towarzystwa, mające na celu zaopatrywanie sierot i dzieci ubogich w odzież.

Prócz wyżej wymienionych instytucyi posiada Paryż około 70 przytułków dla sierot (*orphelinats*), po większej części utrzymywanych z funduszów prywatnych a mieszczących w sobie do 4,000 sierot.

Dla sierot dziewcząt istnieje znaczna liczba (przeszło 20) szkółek bezpłatnych, dla przeszło 1,300 tych sierot.

Nadto dla sierot dziewcząt jest jeszcze w bardzo wielu klasztorach przytułek i nauka.

Dzieci ubogie a chore lub kalectwem dotknięte mają dla siebie przytułek w dwóch zakładach, z których jeden jest utrzymywanym przez wyżej wspomniane towarzystwo przyjaciół dzieci.

Dla uzupełnienia powyższego szkicu dodać wypada, że prawo z 19 maja 1874 r. rozciąga opiekę nad dziećmi pracującemi w rzemiosłach i fabrykach, a prawo z 19 grudnia 1874 roku ma na celu opiekę nad dziećmi, które chodząc po ulicach i domach szukają zarobku (*les professions ambulantes*).

Na tem kończę powyższy pobieżny obraz dobroczynnej działalności Paryża w niesieniu pomocy niemowlętom i dzieciom, pragnąc, aby się stał dla Warszawian pobudką do rozmyślań w przededniu utworzenia się u nas Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

St. Markiewicz.

MOC DUSZY.

OPOWIADANIE.

przez

P. W. Ż.

— Patrz—mówił do mnie jeden z moich przyjaciół, ukazując z okna swego mieszkania mały taras, leżący na czwartem piętrze przeciwnego domu—czy widzisz tego człowieka? Jest mi on tak bardzo wstrętnym, że już nieraz przychodziła mi myśl, zmienić mieszkanie dla tego tylko, ażeby pozbyć się nie miłego vis-à-vis. Nie śmiej się ze mnie gdy ci powiem, że nigdy z nim nie mówiłem, nigdym nie słyszał jego głosu; nie wiem kto on jest, jak wygląda, gdyż wzrok mój nie sięga tak daleko, nawet przez dalekowidz. Człowiek ten zawsze w jednej i tej samej godzinie wychodzi na swój taras, prawdopodobnie po dobrym obiedzie, siada na wygodnym fotelu, zakłada jedną nogę na drugą, opiera rękę na poręczy żelaznego ganku i czeka.

Wkrótce potem zjawia się jakaś kobieta. Zapewne jego żona, podaje mu fajkę, zapala ją sama i przystawia mu mały stołeczek pod nogi; on pozwala sobie służyć, zawsze sztywny i tryumfujący jak sułtan turecki; nigdy najmniejszym ruchem nieuprzedzając usłużnej kobiety, nie dziękując nigdy za jej uprzejmość i zdaje się nawet nie spostrzegać jej obecności. Zawsze mu czegoś brakuje: wtedy kobieta biegnie i za chwilę powraca, niosąc to filiżankę, to szklankę, to owoce na talerzu, lub coś innego; on je, pije, obciera sobie usta; pokręca sumiaste wąsy i znów żąda coś innego.

Jest to więc, jak widzisz gbur, próżniak i nałogowiec. Przychodzą jego przyjaciele. Myślisz że się podniesie, ażeby ich przywitać? Gdzie tam! Nigdy nawet nie spojrzy na swoich gości, nie patrzy ani na dół ani do góry; nigdy się nie śmieje, nie czyta, nikogo nie żegna, nie odprowadza kiedy odchodzą: jednem słowem zdaje mu się, że jest słońcem, na około którego wszystko musi się obracać, bożyszczem, któremu wszyscy mają się kłaniać, służyć mu i podziwiać.

Nie wiem kto on jest, a przecież znam go tak dobrze jak ciebie. Ten człowiek jest to jakiś kramarz, dorabiający się majątku, dorobkiewicz, który nim zostanie bogatym, zawczasu chce się przyzwyczaić grać rolę wielkiego pana, według swojego pojęcia. Ożenił się on z tą nieszczęśliwą kobietą dlatego tylko, ażeby nie opłacać chłopca sklepowego, ani służącej w domu; obchodzi się z nią gorzej jak ze służącą, a nie wiele lepiej jak z tym ostatnim: jest to więc w dodatku samolub i sknera, dogadzający tylko swojemu łakomstwu i chciwości. Mógłby mieszkać na trzeciem piętrze, przez oszczędność mieszka na czwartem, nie ma dzieci i zapewne mieć ich sobie nie życzy, bo wychowanie dzieci kosztuje, a on tak lubi pieniądze.

Nie przerywając mojemu przyjacielowi jego opowiadania, spoglądałem na mniemanego kramarza i jego żonę, siedzącą naprzeciwko męża na nizkim drewnianym stołeczku.

Mężczyzna mógł mieć około lat 40, kobieta nieco mniej; nie mogłem atoli dokładnie rozpoznać ich rysów: wziąłem więc dalekowidz i skierowałem go na nią.

Była to w samej rzeczy twarz biednej istoty, zgnębionej troskami i zgadzającej się ze swojem przeznaczeniem.

Włosy jej były prawie zupełnie siwe, czoło okryte zmarszczkami, oczy wielkie, smętne, zakryte niby mgłą, której nic już rozwiać nie mogło.

Mój przyjaciel podobno się nie mylił—pomyślałem w duchu i spojrzałem przez dalekowidz na jej towarzysza, właśnie w chwili, w której zwrócił się w moją stronę.—Co ja widzę! czyż to podobna? Tak, to on, nie ma wątpliwości, ta sama twarz, którą tyle razy widziałem w illustracyach i na fotografiach.

Wtedy przyszło mi na myśl zdarzenie oddawna zapomniane, które czytelniczki znajdą w dalszym ciągu tego opowiadania.

— Jakże ci się podoba mój sąsiad?—zapytał mnie mój przyjaciel.

— W istocie, nie bardzo to sympatyczna osoba, zdaje mi się jednakże, żem ją gdzieś dawniej widział, a ponieważ mi na tem zależy, pójdę się przekonać, czy się nie mylę.

Nazajutrz wybrałem się do mieszkania mniemanego kramarza. Przyzwyczajony do odbierania podobnych wizyt, przyjął mnie bardzo uprzejmie, opowiedział całe zdarzenie z taką obojętnością, jak gdyby ono kogo innego, a nie jego samego tyczyło. Mówił mi długo o kobiecie, z którą mieszkał (nie byłato bynajmniej jego żona).

— Mieszkamy z sobą już od lat dziesięciu i żyjemy jak Bóg dał. Moją jedyną pociechą jest szacunek i współczucie jakie mam u ludzi, oraz poświęcenie tej kobiety, obdarzonej anielską cierpliwością.

Powróciwszy do domu, pisałem przez cały wieczór i następny ranek, a trzeciego dnia posządłem do przyjaciela, przynosząc mu rękopism.

— Czy wiesz, mój kochany—powiedziedziałem—żeś się wielce pomylił w twojem niepochlebnem sądzeniu o swoim, jak go nazwałeś, kramarzu.

— To niepodobna, ty żartujesz!—odrzekł.

— Oto, proszę cię, przeczytaj ten manuskrypt; jest to opowiadanie historyczne, które w tych dniach napisałem; bohaterem jest twój sąsiad z przeciwka; daję ci słowo, że ani jednym wyrazem nie poważyłem się zmienić prawdy.

Przyjaciel wziął do ręki rękopism. W miarę jak czytał, twarz jego przybierała jakiś smutny i surowy wyraz.

Gdy już skończył, uścisnął mnie za rękę i wziąwszy kapelusz, wybiegł na ulicę. Z okna widziałem, jak wszedł do mieszkania naprzeciwko: w pół godziny powrócił.

— Wiem gdzie byłeś i po co?—zawołałem.— Poszedłeś go uściskać i prosić o przebaczenie.

— Zgadłeś—odpowiedział, obejmując mnie za szyję.

* *
*

Było to w lecie 1861 r.

Fama o zbójeckich wyprawach opryszków w Abruzzach i Kalabryi przebiegała od jednego końca Europy do drugiego.

Niesłychane działy się rzeczy w tej pięknej krainie, wystawionej na łup długoletniej anarchii. W Montemileto żywcem grzebano pod stosami trupów tych co odważyli się wołać: „Niech żyją Włochy!“

W Viesti rozrywano kleszczami ciała wieśniaków, nieposłusznych rozkazom swoich samowładnych łupieżców. Pułkownik Negri widział zawieszone u okien, niby trofea, skrwawione członki swoich żołnierzy.

Zgraje wściekłego motłochu wychodziły w nocy ze wsi z pochodniami, witając tryumfalnie, bandy powracających rozbójników.

Palono zboże na pniu, burzono domostwa, porywano i brano w zastaw całe rodziny zamożniejszych obywateli; wieszano, obdzierano ze skóry, ćwiertowano... a z prawego brzegu Tybru, dla wspierania tego nieszczęsnego mordu posyłano broń, rynsztunek i pieniądze....

W jednym z ostatnich dni miesiąca lipca, wkrótce po wschodzie słońca, pustą, jałową doliną prowincyi Kapitanaty, jechał drogą ku San Pevezo konny karabinier włoski.

Noc jeszcze była, kiedy pułkownik wyprawił go z rozkazem do dowódzcy niewielkiej ruchomej kolumny.

Karabinier powracał do miasta z odpowiedzią dowódzcy oddziału, który donosił, że o godzinie ósmej rano wymaszeruje w pewne ustronie w góry, gdzie wiedział, że się ukrywała zgraja bandytów, od jakiegoś czasu przejmująca strachem i zgrozą całą okolicę.

Posłaniec był to młody człowiek, około lat trzydziestu, wysoki, chudy, z dwojgiem czarnych błyszczących oczów, ze sterczącemi wąsami i głęboką zmarszczką pomiędzy brwiami, oznaczającą refleksyę i zastanowienie.

Z całej jego fizyognomii wiał jakiś chłód i przedwczesna powaga, a wielki, czarny po napoleońsku włożony kapelusz dodawał jeszcze więcej jego postawie smutku i żałoby. Jego ruchy ostre i energiczne świadczyły o wewnętrznym harcie ducha, odpowiadającym potrzebie czasu i miejsca.

Karabinier jechał kłusem wijącą się wężykowato ścieżką, zwracając głowę to w prawo to w lewo i spoglądając na opustoszałe pastwiska, skaliste góry, błękitne niebo, nie słysząc innego głosu, jeno stąpanie swego konia i brzęk własnego pałasza.

Wtem przejeżdżając pomiędzy płotem z gęstych krzaków, zobaczył błysk i jednocześnie usłyszał wystrzał strzelby; kiedy zwracał konia i porwał za pistolet, koń zachwiał się; kiedy schylał głowę patrząc, czy nie ranny, uczuł że go porwano z tyłu, w chwili zaś kiedy się zwracał, chcąc zrzucić z siebie napastnika, jakiś człowiek wybiegł z krzaków, zkąd wybiegł strzał i z przodu rzucił się na niego: za tym jak cień ukazał się trzeci. Karabiner nie miał czasu ani wystrzelić, ani zeskoczyć z konia, ani dobyć pałasza; był zrzucony i powalony na ziemię: leżąc chciał stawić opór, szamotał się, targał, gryzł, ale powstać nie mógł. Osłabiony, pozbawiony sił, został rozzbrojony; w bohaterskim jednak oporze, otoczony kłębami pyłu, zdołał dostać z pod guzika munduru list i szybkiem poruszeniem ręki włożyć go do ust.

Bandyci związali mu ręce w tył, postawili na nogi, zawiesili na szyi jego pałasz, płaszcz zwinięty w wałek, żołnierski tłomoczek, zawlekli śmiertelnie ugodzonego konia w krzaki i dalej ruszyli w góry, popychając go, uderzając kolbami, przeklinając, śmiejąc się i żartując z nieszczęśliwego.

Po śpiesznym półgodzinnym marszu, gdy już byli daleko od bitej drogi i nie obawiając się pogoni, zwolnili kroku.

W pośród drzew, u podnóża gór, gdzie się znajdowali, nie widać już było domów, ani lepianek wieśniaczych, ani żadnego śladu ludzkiego mieszkania.

Karabinier schylony pod ciężarem własnego rynsztunku nie okazywał po sobie żadnego przestrachu ani gniewu; jego twarz blada, napozór obojętna, przekonywała o umyśle świadomym losu, jaki go czekał; wiedział on że dostać się w ręce bandytów w owych dniach srogiego, dzikiego odwetu, była to pewna śmierć, śmierć okrutna i niezawodna; dlatego też widać że spodziewał się jej, że jej lada moment oczekiwał: ktoby go był zobaczył w owej chwili musiałby powiedzieć:

— Ten człowiek idzie na śmierć.

Idący przed nim bandyta oglądał się co chwila, rzucając nań spojrzenie pełne ciekawości i podejrzenia.

Ten zaś co szedł obok niego i zdawał się być naczelnikiem bandy, patrzał również to na jeńca, to na swego towarzysza, zamieniając z nim spojrzenie tryumfu i radości.

— Hej!—zawołał nagle, zawieszając na szyi karabiniera swoją strzelbę—zmęczyłem się już: ulżyj mi ciężaru!

— Nieś i moją także—rzekł drugi bandyta i uczynił to samo.

— A ty?—zapytał dowódzca bandy, zwracając się do trzeciego idącego wtyle i jak się zdawało najmłodszego z bandy.

— Ja?—odpowiedział tenże—ja ją sam poniosę: nie wiadomo co może jeszcze wypaść.

— Niedołęga!—mruknął bandyta, rzucając nań pogardliwe spojrzenie.

Poczem zwrócił się do karabiniera i uderzając go po ramieniu swoją olbrzymią dłonią powiedział:

— Przyjacielu! może teraz dowiemy się od ciebie dokąd jechałeś?

Karabinier nic nie odpowiedział.

— Oh! oh! — zawołał bandyta, podejmując z ziemi gruby pręt—czy słyszysz—i uderzył go silnie po palcach.

Karabinier szedł dalej, jak gdyby nie słyszał zapytania.

— Będziesz mówił, będziesz kochanku—rzekł bandyta odrzucając pręt—tak jak ty zaczynają wszyscy, ty także skończysz tak jak inni. Je-

steś tak jak inni z kości i ciała, będziesz i ty śpiewał, kiedy poczujesz ukłucie. Naprzód! marsz!

I to mówiąc, uderzył go pięścią, popychając na ścieżkę wzdłuż brzegu rwącego potoku.

Po chwili przeszli mały kamienny mostek, obeszli dokoła nagiego wzgórka i zaczęli wstępować ciasną drożyną na górę stromą i skalistą. Karabinier, któremu rzemienne pasy strzelb ściskały szyję, duszący się w swoim mundurze, zlany potem, szedł chwiejąc się, potykał się na kamieniach, padał na kolana, podnosił się z trudnością i znowu upadał; bandyci kłuli go, popychali, szturchali, drwiąc z niego i wyjąc:

— Dalej próżniaku, dalej! Wy jeśli się wam uda którego z nas pojmać, przywiązujecie nas do koni i płazujecie pałaszami, dziś przyszła kreska na ciebie piemontczyku!

W połowie wysokości góry i na jej pochyłości czekano na nich.

W jednem miejscu, w którem góra tworzyła urwiska, rozpadliny i prostopadłe bezdenne przepaście pod ukłęsłą skałą, tworzącą rodzaj sklepienia, rozciągał się kawałek gruntu otoczonego dokoła ogromnemi głazami naniesionemi z górnych okolic, lub też ułożonemi siłą ramienia.

Skała służyła za dach i ściany drewnianej lepianki, zajmującej czwartą część zamkniętej przestrzeni. W wewnętrznej kamiennej ścianie, framugi umyślnie wykute w skale, służyły za skład do rzeczy; przez kamienne schodki, również wykute w skale, wychodziło się na wierzch sklepienia, zkąd można było widzieć całą pochyłość góry.

Patrząc z zewnątrz najmniejszy ślad nie okazywał że tam mieszkali ludzie, wnętrze podobne było do jaskini, do groty, do jakiejś reduty lub posterunku; we framugach stały szklanki, butelki, blaszane filiżanki, kociołki, garnki i tygielki, bułki chleba i noże; na wystających kamieniach wisiały sakwy i gąsiorki w plecionkach, w jednym rogu widać było kupę popiołu i głowni, pod kominem słomiany barłóg i stos rozmaitych rzeczy do ubrania.

Człowiek stojący na ostatnim stopniu schodów, oparty łokciami na olbrzymim głazie, kryjąc twarz za dwoma kamieniami, z poza których patrzył do koła jakby przez strzelnicę, oczekiwał powrotu bandy.

Spostrzegłszy karabiniera, klasnął w ręce na znak radości i śledząc każde jego poruszenie, wtorował gestem, słowem i przekleństwem uderzeniom, jakiemi jego towarzysze obdarzali nieszczęśliwego jeńca. Chciał, zdawało się, powiększyć jeszcze bardziej siłę razów i ból ofiary.

Gdy bandyci byli już blisko kryjówki, zszedł ze swojej strażnicy i czekał u drzwi. Przybyli. Karabinier popchnięty całą siłą potężnego ramienia starego bandyty, runął na ziemię jak długi; inni weszli z hałasem zadyszani i zlani potem, rzucając tu i owdzie worki, sakwy, kapelusze, broń. Później usiedli na kamieniach, zastępujących tutaj miejsce stołków i nic nie mówiąc, odpoczywali, obcierając pot z czoła i sapiąc jak kowalskie miechy.

— Mamy jeszcze jednego!!—zawołał dowódzca bandy, zwracając się do strażników jaskini.

— Żywy i cały—odpowiedział.

Poczem przyglądając się karabinierowi i widząc że był przy ostrogach, zapytał zdziwiony:

— A gdzież bydlę?

— Nie mów mi o tem—odpowiedział bandyta z niechęcią. Powinienem był zgruchotać na kawałki swój karabin, trafiłem zwierzę zamiast człowieka. I opowiedział w krótkich słowach co zaszło.

— Nic nie szkodzi—odrzekł pierwszy—dzisiejsza zdobycz i tak jest arcydziełem zręczności!

To mówiąc zbliżył się do żołnierza i przyglądając mu się z miną głupiej bezmyślnej ciekawości, pomógł mu powstać, zdjął z niego strzelbę, płaszcz i pałasz, obejrzał na wszystkie strony jego kapelusz, uśmiechnął się szyderczo i rzucił go w kąt jaskini. Karabinier przyszedłszy nieco do siebie, usiadł na kamieniu i zaczął się przypatrywać rozbójnikom każdemu z osobna, poważnie, powolnie, jak chory którego myśl sięga już po tamtą stronę grobu, którego już nie wiele obchodzi to, co go może jeszcze spotkać w tem życiu.

Bandyci tymczasem skwapliwie przetrząsali jego żołnierski tłomoczek.

— Były to zaprawdę twarze godne miejsca i czynu. Ten, który zdawał się być naczelnikiem, miał około lat czterdziestu, małego wzrostu, ale barczysty, krępy i z ogromną głową; ramiona mu prawie dotykały uszów; dwoje nóg w łuk wygiętych, z grubemi łydkami wspierały ten potworny kadłub: od stóp do głowy krótki, pękaty, szeroki, skulony, zdawał się być olbrzymem wciśniętym w samego siebie. Z pod czarnych jego włosów, brwi wąsów i brody nie widać było zupełnie jego rysów, jeno chyba skrawek wązkiego, opalonego czoła i wystające końce kości policzkowych. Dwóch z trzech bandytów zdawało się być braćmi: to samo wązkie czoło, spłaszczony nos, takie same lisie oczy, usta bez warg, schodzące na dół w kształcie półkoła, broda śpiczasta i bez zarostu, obadwa małego wzrostu: wszystkie te kształty czyniły ich do siebie nadzwyczaj podobnymi. Rysy trzeciego nie były szlachetniejsze od rysów jego towarzyszy. Zbójecka ta trójka miała w oczach coś dziwnie złowrogiego, chytrego, łączącego naturę dziką i okrutną z zuchwałą odwagą i podłem tchórzostwem. Zgięci w pasie, wszyscy trzej mieli w swoim chodzie i we wszystkich swoich gestach, nawet w chwilach wściekłości, miękkie, powolne, leniwe ruchy tygrysów i panter. Kapelusz w kształcie głowy cukru, z wązkiemi skrzydłami, długie kamasze, szeroki kaftan otwarty z przodu, krótkie aksamitne wypłowiałe spodnie ze wstążeczkami u kolan, oraz niebieski szalik, okręcony w około bioder, stanowiły ich ubiór. Czwarty bandyta, najmłodszy ze zgrai, miał twarz więcej ludzką, był również małego wzrostu, szczupły i bez zarostu.

— Teraz—rzekł dowódzca bandy skończywszy przegląd mantelzaka — zdejmcie z więźnia jego gałgany. Później posilimy się cokolwiek i zobaczymy co nam czynić wypadnie.

Dwóch braci zbliżyło się do karabiniera; jeden z nich rozwiązywał mu ręce, drugi trzymał sztylet przy sercu: jeńcowi ręce opadły bezwładnie, jak u świeżego trupa.

— Zdejm z siebie mundur — rzekł doń jeden z bandytów.

Karabinier spojrzał na niego, zmarszczył czoło i zacisnął zęby. Najmłodszy bandyta stojący przy drzwiach patrzał na niego ze smutkiem i rodzajem ukrytego bojaźliwego współczucia.

— Ruszaj na twoje miejsce!—rzekł ostro dowódzca bandy.

Chłopiec przyzwyczajony do podobnych rozkazów, wyszedł po schodkach prowadzących na strażnicę, zkąd niedawno jego towarzysz spostrzegł powracającą bandę, wsparł się łokciami na kamieniach, wetknął głowę w otwór umyślnie na ten cel zrobiony i patrzył przed siebie na góry, skały, urwiska i przepaście.

— Zdejm mundur—powtórzyli dwaj bandyci, podnosząc pięście na znak pogróżki.

— Zagrajcie mu po zębach, niechby mu aż w oczach zaświeciło!—zawołał najstarszy z bandy.

Karabinier drgnął, jakby dotknięty rozpalonem żelazem, skinął głowę na piersi na znak rezygnacyi i zdjął z siebie poszarpany uniform. Bandyci porwali go jak szakale, przeszukali rękawy i kieszenie, lecz nic nie znalazłszy rzucili pod komin na kupę innych rzeczy. Jeden z nich sięgnął mu ręką do kieszeni spodni i zwracając się do dowódzcy, rzekł z niechęcią:

— Nie ma nic!

— Przekleństwo!—ryknął—przywiążcie go do żelaza!

Dwóch bandytów przywiązało karabiniera, znów mu krępując ręce na grzbiecie, do wielkiego haka wbitego u pala do drzwi. Żołnierz był blady jak śmierć i dzwonił zębami jak w febrze, pomimo dokuczliwego gorąca. Bandyci dostali z framugi trochę żywności, usiedli na kamieniach i zaczęli jeść, rozmawiając spokojnie, urywając czasem rozmowę, jak to się zwykle dzieje, kiedy więcej zwracamy uwagi na to co jemy, aniżeli na to co mówimy.

— Czy miałeś jakie wiadomości z Casalvecchio?

— W sprawie don Alessia?

— Tak, 200 dukatów okupu.

— Zapłacone?

— Zapłacone.

— Co za wyśmienita gratka!

— I 300 dukatów Syndykowie?

— Doskonale nam się powiodło w Biccari: 6 koni, 5 strzelb, 1,000 dukatów i 8 kręgów sera.

I to mówiąc cisnął skórkę z pomarańczy w twarz karabiniera, wołając:—Masz! to dla ciebie!

— Podobno niepowiodło się naszym w Cerignola?

— Niestety! Piemontczycy napadli na połączone bandy Pietropaola i Salwatora Codipietra i rozbili je ze szczętem. Syndyk ich zdradził.

— Wzięto siedmiu.

— Z dowódzcą bandy?

— Nie.

— Rozstrzelali ich? czy tak?

Rozbójnik potakująco skinął głową.

— Madonna! — krzyknął bandyta, zwracając się do karabiniera!

— Czy słyszałeś? Powetujemy to sobie, bądź pewny. Przyjdzie dzień, w którym na każdem drzewie we wsi kalabryjskiej zawiesimy wnętrzności jednego Piemontczyka. Oddawna wyglądamy tej chwili!—I wychylił pełną szklankę wina.

— Patrz-no —rzekł jeden z bandytów do towarzysza—zdaje się że to bydlę myśli!

— O czem myślisz, Piemontczyku?—zapytał dowódzca bandy żołnierza.

— Może o twojej mamuni?—wtrącił drugi.

— Gdzieżeś ją zostawił?

— Opowiedz nam, to będzie zapewne ciekawa historyjka.

Bandyci spoglądali na karabiniera; ten tylko westchnął zcicha, zamknął oczy i nic nie odpowiedział. Później otworzył je nagle zalzawione i patrzył daleko, daleko, za góry i doliny, a łzy jak groch padały na jego podarty mundur.

Okrutny, zwierzęcy wyraz oszpecił twarze bandytów.

— Dlaczego on nam nic nie odpowiada? Czyżby to miała być duma?

— Prędzej skromność — rzekł drugi śmiejąc się na całe gardło.

— To poprostu ze strachu—dodał dowódzca bandy.

Karabinier wstrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: „To kłamstwo!"

— Ach! nie?—krzyknął bandyta, stając na równe nogi. Zaraz to zobaczymy.... Nie ma wątpliwości!—rzekł, zwracając się do towarzyszów—ten Piemontczyk wieźć musiał jakiś rozkaz, ażeby nas zejść w naszej kryjówce. Straciliśmy napróżno wiele czasu. Zmusimy go teraz niech splunie.

— Tak! tak!—wrzasnęła zgraja—niech splunie, niech śpiewa!

Karabinier drgnął, podniósł dumnie głowę, jakby chciał powiedzieć: „Jestem w waszej mocy, róbcie ze mną co chcecie, jestem na wszystko przygotowany." Trzech bandytów stanęło przed nim. Młody zbójca, stojący na straży, drżał jak liść i odwrócił głowę, ażeby nie dać poznać po sobie przejmującego go uczucia; dostrzegł to atoli dowódzca bandy i znaczącym gestem rozkazał mu, ażeby pilnował swego obowiązku.

Chłopiec zajął dawne stanowisko.

— A więc zkąd jesteś?—zaczął znowu mówić bandyta tonem, w którym już nie było widać żartów ani ironii.

Żołnierz zmarszczył tylko brwi i spojrzał na bandytę; ale ten w tem spojrzeniu spostrzegł wolę daleko potężniejszą od swojej. Bandyta nic nie odpowiedział, ale tak gwałtownie uderzył ściśniętą pięścią pod brodę nieszczęśliwego, że słychać było zgrzyt wyłamujących się zębów.

— A teraz będziesz jeszcze milczał?

Karabinier pochylił głowę; z ust jego płynęła krew: później spojrzał na swego sprawcę i milczał dalej.

Bandyta przygryzł wargi i zamienił z towarzyszami przymuszony uśmiech, poczem z całym spokojem sięgnął do kieszeni, dobył nóż, otworzył go, odpiął karabinierowi koszulę i dotknął jego ostrzem wklęsłe miejsce, gdzie się szyja kończy, a tułów zaczyna. Ofiara drgnęła, jak gdyby żelazo już się było dostało do ciała.

— Nie boi się—mruknął pół głosem bandyta. I pociągnął lekko i powoli, jak gdyby to robił na stole, kreśląc prostopadłą linię. Na piersi nie-

szczęśliwego wystąpiła długa, czerwona kresa, podobna do cięcia brzytwą; znikła atoli w tej chwili pod kroplami krwi wytryskującej na całej długości, krople spływały na dół, jak łzy po policzkach, po sukniach, aż do ziemi.

— Ach! ach! — ryknął zwierzęcym głosem bandyta—teraz zaczynasz widzieć, że to nie żarty!

— Patrz! patrz! jak płynie jego posoka—rzekł jeden z bandytów.

Chłopiec stojący na górze u strażnicy zakrył sobie twarz rękami.

— Czy będziesz mówił?—znów zapytał stary zbójca.

Karabinier spoglądał na płynącą krew, ale ani jednem poruszeniem muskułów nie okazał swojej boleści, a tembardziej nie wyrzekł ani słowa. Oprawcy spoglądali po sobie więcej zdumieni jak wściekli.

— Chcesz więc umrzeć koniecznie! — zawołał bandyta, przybliżając swoję szpetną twarz do zakrwawionej twarzy żołnierza i wstrząsając ręką przed jego oczyma.

— Czy nie wiesz gdzie jesteś? Tu, w rękach naszych sam jeden, możemy ci w jednej chwili wypruć wnętrzności jak psu. Czego się spodziewasz? Na kogo liczysz? Czy myślisz, że cały pułk przyjdzie cię szukać? Odpowiedz!

Karabinier nie rzekł ani słowa.

(d. n.)

Gawędy botaniczne.

Przez

Wincentego Niewiadomskiego.

(Ciąg dalszy)

ROZDZIAŁ I,

w którym autor gawędzi więcej o fizyce i chemii, niż o botanice.

Ostrożnie z kwasem węglanym!—Każda nasza uczta składa się z węgla, wody i powietrza.—Duszno nam.—Otwieramy okno.—Ukazuje się roślina.—Ożywiamy się.—Tajemnicza pracownia życia.

Nie wiem, czy zdarzyło się wam, łaskawe czytelniczki, sprawdzić ten fakt, niestety wielce smutny, że nauka najczęściej przestrasza naszą inteligencyę.

Umysł ludzki zajmujący się żywo błahostkami, oburza się zwykle na najniewinniejszą pokusę popularyzowania wiedzy.

Znam czytelników (proszę zaznaczyć że nie powiadam *czytelniczek*, gdyż w tej mierze płeć piękna ma nieporównaną wyższość nad brzydką, a prawdopodobnie wyższość tę zawdzięcza wrodzonemu kobietom elementowi: *ciekawości*): otóż powtarzam, że znam czytelników, którzy za natrafieniem w książce słowa: *węgiel*, marszczą brwi, słowo *wodór* przedłuża im szkaradnie dolną wargę, a przy słowie: *tlen* lub *azot*, zirytowani zamykają książkę i już do niej nie powracają nigdy!

Z tego też względu, w niniejszym pierwszym rozdziale mych gawęd, muszę być niezmiernie oględnym, aby was, miłe czytelniczki, nie zrazić ani nie przestraszyć.

Zresztą nie naśladując płci starszej, bądźcie, panie, najzupełniej spokojne. Nauka jest zbiorem najcudowniejszych historyi, których najcenniejszym przymiotem jest to, że są prawdziwe. Czyż w tej mierze mogą jej sprostać jakieś opowiadania fantastyczne, lub baśnie mytologiczne?

Pozostawcie więc mnie, panie, pewną swobodę, a jeżeli pomimo moich usiłowań zawiodę wasze oczekiwania, jeżeli nie zaciekawię waszego umysłu choćby przez chwilę, wtedy mnie tylko oskarżajcie, lecz bynajmniej nie naukę, gdyż w tym razie będę tylko jej nieudolnym rzecznikiem.

. . . .

Istnieje w naturze... jakby to powiedzieć?... Istnieje w naturze element niewidzialny, płyn powietrzny, gaz.... Lichy początek! Nieosobliwie jakoś zaczynam....

Powiedźcie mi, panie, czy nie zbliżyłyście się kiedy do ogniska, w którem żarzył się czarny węgiel? Miało to miejsce niewątpliwie. Uczułyście wówczas przykry wyziew, duszący; gorące powietrze dostawało się do waszej krtani, zapełniało nozdrza nieznośnym pyłem. Otóż strzeżcie się, panie, kiedykolwiek tym gazem oddychać, gdyż jest niebezpiecznym złoczyńcą, rodzajem dusiciela indyjskiego, poszukującego ofiary.

Zresztą to jego nawyknienie. Dusiciel ów nazywa się *gazem węglowym*, lub *kwasem węglanym*.

Niewidzialny, bezbarwny, ukrywa się we wszelakich miejscach, ziejąc zabójczy wyziew, bezwonny, niewybuchliwy, znicestwiający życie człowieka lub zwierzęcia, których traf lub obowiązek, postawił na drodze jego straszliwego pochodu!

Wywiązuje się on skrycie ze szczelin ziemnych, *z psiej groty* istniejącej w pobliżu Neapolu i z tak zwanej *Doliny Śmierci* na Jawie.

Ryczy w czeluści rozpalonych pieców hutniczych, z piorunujących łoskotem zieje z krateru wulkanów, lub też wydziela się spokojnie z różanych, współrozwartych ustek dziecięcia, śpiącego w kołysce.

Jest wszędzie: w głębi studni, kopalń, piwnic, kanałów, kadzi w których odbywa się fermentacya płynów, równie jak w łonie górskich pokładów kredy, lub marmuru, w warstwach muszlowych, torfowych, lub węgla kamiennego. Z rośliny zbutwiałej i z trupa uległego rozkładowi, wywiązuje się, groźny, straszliwy, niewyczerpany. Wydziela się jednak głównie w skutek palenia. Palcie jakąkolwiek materyę roślinną lub zwierzęcą, a bezwłocznie ulatniać się z niej będzie kwas węglany, podobnie jak ulatnia się z kamienia wapiennego, na który puściłybyście panie, kilka kropel jakiegokolwiek kwasu.

Dawniejsi fizycy, ze względu wywiązywania się kwasu węglanego z najrozmaitszych ciał stałych, nadawali mu przeróżne nazwy, jako to: *Wyskoku drzewnego*, *powietrza mefitycznego* (zaraźliwego), *gazu leśnego*, lub po prostu *gazu*. Obecnie nosi on jedną tylko nazwę: *kwasu węglanego*.

Dlaczego węglanego? — Oto dlatego, że składa się z tlenu i węgla. Odczytujcie, panie, to imie z pewnym rodzajem szacunku, gdyż oznacza jeden z pierwiastków najobfitszych w naturze, stanowiących podstawę składników tworzących wszechświat. Węgiel jest jednym z czterech dygnitarzy najznakomitszych w państwie przyrody, z którymi może raczycie nieco się bliżej zapoznać.

Węgiel, ów czarny smolący węgiel, z którym nie robią sobie wiele ceremonii, wasi kucharze, kuchciki i kucharki, którym wy, panie, pogardzacie, pomimo całej jego użyteczności, jest przecież, będąc w stanie zupełnej czystości, ni mniej, ni więcej, jak przepięknym dyamentem; tym samym dyamentem, który rozlewa blaski przepyszne w pierścieniu, manelach, w zausznicach waszych, nadające majestat czarującym wdziękom niewieścim. Węgiel zresztą, nie będąc dyamentem, jest w każdym razie zasadniczą podstawą stworzenia. W rzeczy samej, jest on najważniejszym elementem wszelakich materyj roślinnych i zwierzęcych, a obok tego tworzy wiele ciał mineralnych. Nie posiadając smaku, ani woni, nie topiąc się choćby w najgorętszym ogniu, przybiera on najrozmaitsze postacie i ukrywa wszędzie, w całej naturze, tworząc związki najróżnorodniejsze.

Po tym niepospolitego znaczenia dostojniku, raczycie może, lube czytelniczki, zapamiętać drugą poważną i niemniej szanowną osobistość, to jest *wodór*, pierwiastek palny, tworzący gaz najlżejszy ze znanych. Trzecim z owych dygnitarzy, jest *tlen*, jeden z najpotężniejszych czynników w przyrodzie,—czwartym zaś i ostatnim *azot*, gaz którym oddychać niepodobna. Azot to rodzaj flegmatycznego mentora, który powściąga nieustannie nadmierną krewkość i młodzieńczy zapał swego kolegi tlenu. Bez refleksyi tego towarzysza, tlen zużyłby się wkrótce i zamknął życie organiczne w cyklu wielce ograniczonym. Tlen reprezentuje nam wrzącą młodość, niepohamowaną werwę, siłę wyczerpującą się tem wcześniej, że jej się nie oszczędza. Azot jednak miarkuje ją wszędzie, i powstrzymuje od szaleństw swego towarzysza.

Ci czterej aktorowie odgrywają wielki dramat życia, na scenie wszechświata.

Węgiel, wodór, tlen i azot: oto cztery słowa tak z razu przestraszające! Powtarzam ich imiona, abyście, panie, lepiej zatrzymały je w pamięci. Zresztą cóż łatwiejszego jak zapamiętać, jeżeli nie nazwy tych czterech pierwiastków, to przynajmniej ich dobrze znane związki familijne. Z węglem łączy nas dawna znajomość.

Tlen z wodorem tworzy: *wodę*.

Mieszanina tlenu z azotem, tworzy: *powietrze*.

Węgiel, woda i powietrze, *to pożywienie wszech jestestw*. Spożywa je nędzarz w suchym kawałku czarnego chleba, — i bogacz tuczący się najwykwintniejszemi przysmakami sztuki kulinarnej.

Najwytworniejsza potrawa składa się z tych prostych elementów. I nie jest to bynajmniej metaforą. Wszystko czem się nasycamy, co pijemy, bez żadnego wyjątku, jest węglem, wodą i powietrzem. Od wymoczka do wieloryba, od rzęsy wodnej do olbrzymiego baobabu, wszelki twór niemi się żywi. Nielitościwa ironio,—wszystkie nasze wspaniałe biesiady, nie są i nie będą nigdy czem innem, tylko węglem, wodorem, tlenem i azotem!

Wracam do kwasu węglanego.

Z głębin ziemi, z wulkanów, z zakładów fabrycznych [1], z gnicia wszelkich szczątków organicznych, z oddechu ludzi i zwierząt wydziela się on i przechodzi do atmosfery. Wznosi się bez przerwy ku niebu, w olbrzymiej chmurze zaraźliwych wyziewów!

I nietylko śmierć rodzi te zabójcze miazmaty, lecz je wytwarza i życie.

Czy wiecie, lube czytelniczki, jaką ilość kwasu węglanego wydzielają, w skutek oddychania, ludzie na całej kuli ziemskiej, w ciągu roku?

Bagatelkę, — coś około 150,000,000,000 metrów kubicznych, reprezentujących spalenie się [2]) około 200,000,000 funtów węgla! Jak widzicie, panie, jest to kolosalna ilość węgla, którą jednak corocznie spożywa ród ludzki, i corocznie wyrzuca ją w atmosferę od wielu tysięcy stuleci. Kolosalniejszą jeszcze ilość węgla przetwarzają w kwas węglany miliardy zwierząt od czasów geologicznych, zatruwając nim powietrznię.

Gaz to zabójczy! Truje nas z wolna w teatrach, w salonach, nawet w naszych sypialniach, gdy nie ma sposobności dusić nas w zakładach przemysłowych, w pracowniach chemicznych, w kopalniach.

Kwas węglany jest naszym wiekuistym nieprzyjacielem. Subtelny jak powietrze, którego pewną, maleńką cząstkę stanowi, otacza nas morderczą atmosferą, w jakiej zwierzę kona,—światło gaśnie, życie powstrzymanem zostaje. Zbójca ten czyha na nas zewsząd, od wielu tysięcy wieków; tworzy na około ziemi pierścień wyziewów ohydnych, zaraźliwych.

. . . .

Duszno nam, otwieramy okno. Jakaż miła niespodzianka! Zkądże dolatuje nas to powietrze świeże, wonne? Któż ośmieli się nazwać je wyziewami zaraźliwemi? Czyż z łąk, z lasów sosnowych, z gór siniejących w dali, nie płynie do naszej piersi powietrze balsamiczne? Wychylcie się jednak, panie, nieco poza okno, dostrzeżecie tam w głębi krzew lub drzewa, pracujące nieustannie nad oczyszczeniem atmosfery. Zagadnienie wyjaśnionem wam zostanie. Gdyby nie ten krzew, nie to drzewo, nie ta flora dobroczynna, rozległe ognisko śmierci, znicestwiłoby nasze życie. Dzięki przecudownej harmonii istniejącej w naturze, organizm roślinny czerpie

---

[1]) Miliardy korcy węgla zużywa Europa i Ameryka, obliczono, że Anglii wystarczy ten materyał opałowy nie dłużej, jak na lat dwieście.

[2]) Oddychanie jest rzeczywiście paleniem się. Tlen powietrza dostawszy się do płuc, łączy się tam z węglem, pochodzącym z krwi czarnej, żylnej, i wydaje kwas węglany, oraz parę wodną, które na zewnątrz wydalone zostają.

życie z tych właśnie elementów, które nam śmiercią grożą. Roślina żywi się kwasem węglanym; każda jej komórka, jak o tem później przekonacie się panie, chłonie nieustannie jakąś maleńką jego cząstkę, którą zaraz rozkłada. Węgiel wciela w swą tkankę, tlen zaś tak niezbędny do życia ludzkiego i zwierzęcego, oddaje atmosferze.

(d. c. n.)

OGŁOSZENIA

przyjmują się w cenie 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, Lord Brackenbury, 12.

Дозволено Цензурою. Варшава 15 Января 1881 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**